

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{2}$ strona — 50 zł.

$\frac{1}{2}$ „ — 25 „

$\frac{1}{4}$ „ — 13 „

$\frac{1}{8}$ „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Perspektywy narodów bałtyckich.

Referat wygłoszony w Rydze w dn. 29 czerwca 1935 na Kongresie zbliżenia litewsko-łotewsko-estońskiego przez uczestnika Kongresu prof. Michała Rōmera, rektora uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie. (Tłumaczenie z litewskiego, dokonane przez autora).

Już samo położenie geograficzne pewnego kraju — klimat, topografia powierzchni, flora, fauna, rzeki i kierunek tychże, wogóle wody, wybrzeża morskie albo odległość od morza i t. p. — bardzo mocno wpływa na charakter i zwyczaje ludności krajowej, na formy jej obcowania społecznego, na historyczne procesy społeczne w kraju. Gdy wszakże w miarę rozwoju komunikacji, wymiany i wojeni a przez to i stosunków między różnymi krajami nawiązuje się szersza cywilizacja międzynarodowa oraz międzynarodowe obcowanie społeczne z określonymi ośrodkami lub choćby zawiązkami ośrodków tegoż i gdy te ośrodki bądź się ścierają i zaczynają konkurować między sobą, bądź swoje wpływy i ekspansje szerzą w tym lub innym kierunku, docierają i usiłują rozlać swą akcję na peryferje, zaczynają szukać dróg dla niej, wchodzą w kontakt z obcymi procesami społecznymi i działając na nie, same ich oddziaływaniu ulegają, — wtedy zagadnienie położenia geo-fizycznego kraju się przekształca. W tym szerokim i złożonym ruchu konkurencji i penetracji społeczno-cywilizacyjnej, który w jednych miejscach zakłada potężne kwitnące kultury i społeczne konstrukcje sił zorganizowanych, gdzieindziej rozpręga i w gruzy zamienia stare ustroje i społeczne ruchy lokalne — położenie geograficzne tego lub innego kraju w tym ruchu staje się *geo-politycznym* i jako takie w dziejach odpowiedniego kraju dużo więcej waży, niż jego położenie geo-fizyczne, które bądź co bądź także swego działania całkowicie nie zatraca i nieraz na czynniki geo-polityczne reaguje, tak lub inaczej skierowując lub wypaczając ich działanie a także warunki i skutki tegoż.

Procesy społeczno-cywilizacyjne ciągną się przez wieki, czasem coprawda przecinane lub wypaczane przez jakieś katastrofy, ale naogół logiczne i skanalizowane; wyłabiają one w masie stosunków

społecznych swoje określone łożyska działania, jak łożyska rzek w powierzchni ziemi albo jak sieć kanałów w ruchu, podobnie do złożonej sieci dróg ruchu krwi w organizmie żywym. I w związku z tem bardzo trwałą bywa ta ściśle społeczna sytuacja geo-polityczna pewnych krajów, która na przestrzeni długich wieków bardzo nieznacznie w istocie swej się zmienia i, określając dzieje krajowe, wpływa na reagowanie odpowiednich krajów, na ich politykę, o ile naturalnie zdołają się one zorganizować, ująć we własne ręce ster historii swojej w morzu cywilizacji społecznej, racjonalizować historję i rządzić swoim losem w międzynarodowym żywiole społecznym.

Położenie geo-polityczne wschodniego wybrzeża Bałtyku ważyło i waży zawsze w historii krajów tego wybrzeża. Wybrzeże to jest otwarte, połączone geo-fizycznie z szerokiem i głębokiem zapleczem swoim („Hinterland'em”), od którego nie oddzielają jego żadne granice wyraźne i z którem natomiast wiąże je ściśle dorzecza rzek, ale co najważniejsze — wybrzeże to jest na drodze między dwoma ruchami cywilizacyjnymi — Europy zachodniej i Eurazji, które ono poniekąd rozdziela i poniekąd łączy, stanowiąc peryferje obu. Może ono być mostem i może być barjerą między niemi. Ze względu na to położenie swoje kraje Bałtyckie a zwłaszcza wybrzeża są tem miejscem, w którem nacisk sił tych dwóch ruchów jest bardzo mocny i wyraźnie odczuwany w postaci dwóch sprzecznych ekspansyj, które tu się zbiegają, — jedna z zachodu, druga ze wschodu. Niemiecki „Drang nach Osten” z zachodu, energiczny i czynny, zorganizowany i sprężysty, i powolne konsekwentne dążenie ciężkiego olbrzyma ludów Eurazji na zachód, do morza, do ruchu i świata otwartego — ze wschodu, — oto są dwa najjaskrawsze procesy historyczno-cywilizacyjne, które wpływają na los polityczny tego wybrzeża Bałtyku. Działy one na to wybrzeże przez wieki, kształtowały jego historję i z niemi Bałtyk musi się liczyć i dzisiaj.

Wistocie dotyczy to nie tylko samego wybrzeża Bałtyku. Dotyczy to także jego zaplecza, albowiem te czynniki ekspansji, które dążą do opanowania wybrzeża, były i będą zawsze skłonne albo nawet wręcz zdecydowane uzależnić od

siebie szersze zaplecze, choćby tylko dla umocnienia swojej ekspansji i zaasekurowania jej funkcji.

Pierwszą falą ekspansji przed wiekami poczuła Bałtyka z zachodu, ze świata chrześcijańsko-niemieckiego. Szerokim frontem wdzierła się ona w zachodnio-słowiańskie ziemie wybrzeża Bałtyckiego i mądrymi posunięciami swojej straży przedniej — misjonarzy, biskupów, zakonów rycerskich, — przez ujścia rzek, przez zamki na Pomorzu i przez zakładane miasta, jakby wydłużonymi językami ekspansji, wciskała się do poszczególnych odleglejszych punktów wschodnich wybrzeża, gdzie się utrwaliła i stąd szerzyła dalsze ujarzmienie całego wybrzeża.

Zanim odosobnione ludy i plemiona tego wybrzeża uświadomiły sobie niebezpieczeństwo i zdołały się zorganizować dla odparcia inwazji z zewnątrz i zwłaszcza zanim się porozumiały dla skoordynowania swoich sił, już każdy z nich osobno jeden po drugim został ujarzmiony i rozprzężony. Ludy te nieraz także same między sobą lub z najbliższymi sąsiadami zaplecza miały różne dawne spory i nie zlikwidowane porachunki, z których korzystały zresztą czynniki ekspansji zewnętrznej, pomagając lub obiecując pomoc jednym przeciwko drugim i przez to umacniając swoją pozycję własną na placówkach ekspansji. Tak oto gdy książę Pomorza polskiego Świętopełk, poczuwszy zbliżające niebezpieczeństwo, podniósł ideę solidarystyczną kooperacji wybrzeża — zwłaszcza z Prusami, inny z bliskiego zaplecza książę Konrad Mazowiecki wezwał zakon rycerski Krzyżaków i ofiarował im pewne terytorja u samego wybrzeża dla walki przeciwko tymże Prusom.

Wszakże w tej ekspansji ze wschodu, która fala mi swemi zalała długi pas wschodniego wybrzeża Bałtyku, aż po zatokę Fińską na północnym wschodzie, pozostały jeszcze luki. Jedną z nich stanowiło słowiańsko-polskie Pomorze wschodnie, drugą — na wschód od dolnego Niemna — ziemie plemienia litewskiego na Żnuzi, dzielące rządzone przez Krzyżaków Prusy od dalekiej placówki przedniej zdobywców na ziemiach Liwów, Łotyszy i Estów. Gdy w tej drugiej luce, którą z dwóch stron usiłowały zalać zakony, w atmosferze grożącego wciąż niebezpieczeństwa i ciągłej walki, która podziałała na kielkowanie państwowości litewskiej, Litwini pod wodzą swoich książąt zaczęli organizować swe siły i racjonalizować swoją potrzebę obrony w formach państwowych — nie było już miejsca dla metody

solidarystycznej koordynowania i konsolidowania sił zbiorowych wybrzeża. Zapóźno już było iść na drogi tego solidaryzmu. Wodzowie organizującego się państwa litewskiego zmuszeni byli wybrać inną — jedyną w tym czasie i w tych warunkach — metodę. Nie mogąc zespolic szerszych sił samego wybrzeża, ponieważ były już one przez przeciwnika ujarzmione i rozprzężone, zużytkowali oni skupioną w budowie państwowej energję Litwinów na zorganizowanie szerszego zaplecza. Szerokie zaplecze, niewyraźne, rozpraszające się w różnych sprzecznych kierunkach orientacji politycznej, które nie poczuło jeszcze ostrego niebezpieczeństwa z zewnątrz; pogrążone w drobnych walkach lokalnych, aczkolwiek ciężące do wybrzeża morskiego, zależne od losów politycznych tegoż, ale ulegające przeróżnym czynnikom i wpływom, fermentującym w jego łonie i, dezorganizowane przez nie, — potrzebowało wyraźnej siły i inicjatywy kierowniczej, któraby je dyscyplinowała i wyrazistością natchnęła. Pozostawione samo sobie, rozkładające się, doczekałoby się biernie tej chwili, kiedy fale ekspansji niemieckiej z zachodu, po ostatecznym zalaniu i umocnieniu się na wybrzeżu, jęłoby się w nie wdzierać z wybrzeża. Młoda organizacja państwowa litewska, po umocnieniu się zwłaszcza na wschodnim i południowo-wschodnim obszarze swego terytorjum plemiennego — na pograniczu ruskiem — mniej więcej na linii obecnej Wileńszczyzny, walcząc przeciwko napadom zakonnym na północnym zachodzie, — sama się zaczęła rozszerzać na zaplecze ruskie, wyzyskując jego wielką siłę fizyczną masy, którą jąla organizować, dyscyplinować państwowo i politycznie i kierować do potrzeby wspólnej. Była to metoda nie federacyjnej współpracy solidarystycznej, jeno metoda imperjalistyczna. W prędkim czasie Litwa wytworzyła obszerne i potężne imperjum wschodnie, do którego wciągnęła Białorusinów i nawet obszerne ziemie Ukrainy, miejscami i w pewnych okresach sięgając aż po samo morze Czarne, gdzie już zasadnicza orientacja bałtycka tego tworu państwowego zatracła swoją wyrazistość i rozprasza się w działaniu innych orientacji dzielnicowych.

Nie ulega wątpliwości, że to wydłużenie energii aż za peryferje zaplecza Bałtyckiego musiało poniekać rozpraszać siły i szkodzić wyrazistości bałtyckiej tej konstrukcji i jej jedności oraz spójności politycznej. Pomimo to wszakże wyrazistość samego

Seminarjum Główne w Wilnie*).

Pomyślnie zapowiada się rok bieżący dla istniejących przy Wydz. Teol. U.S.B. w Wilnie *Studjów Teologicznych*. W niespełna pół roku ukazały się już trzy cenne prace naukowe (dwie dysertacje doktorskie i jedno studjum teologiczno-pedagogiczne), które świadczą że w Wilnie na uniwersytecie naprawdę powstało środowisko naukowej myśli teologicznej.

Rozprawa doktorska, o której tu mowa, jest u nas zjawiskiem istotnie niesamowitem, ze względu na autora. Jest nim nie żaden ksiądz lub kleryk, lecz laik, dziś pierwszy u nas świecki doktor teo-

logji, p. Wiktor Worotyński (rodem z Łotwy). Wawrzyn doktorski uzyskał młody doktor sumienną rozprawą, rozświetlającą na podstawie niewyzyskanego dotychczas materiału rękopiśmiennego, powstanie i pierwszy okres dziejów (1803—1816) tak oryginalnej swą strukturą uczelni, jak Seminarjum Główne w Wilnie.

Sądymy, że autor we *Wstępie* i *Zakończeniu* przecenia doniosłość tej uczelni, mówiąc o jej *bardzo wybitnej roli w dziejach Kościoła katolickiego pod zaborem rosyjskim*. Bardzo wybitną rolę odegrali tylko niektórzy jej wychowankowie, a to jest co innego. Szkoła, oczywiście, partycypuje, w pewnej mierze, w sławie lub niesławie swych uczniów, lecz jak jedną, tak drugą aż nadto często zdobywają uczniowie zgoła niezależnie od niej. Trzeba byłoby wprzód wykazać, że Gintyło, Herbut, Bobrowski i in. wynieśli swe wielkie zamiłowanie do nauk teologicznych nie skądinąd, lecz właśnie z Seminarjum Głównego.

*) Wiktor Worotyński, *Seminarjum Główne w Wilnie*. Powstanie i pierwszy okres dziejów (1803—1816). Wilno 1935. (Studja Teologiczne VII).

związku tej wielkiej konstrukcji nietylko przez czas długi się utrzymała, ale także zdołała spełniać celowo i ściśle swoją funkcję zasadniczą, płynącą z litewsko-bałtyckiego położenia geo-politycznego.

W tym czasie, kiedy założone przez książąt litewskich wielkie imperjum wschodnie—Wielkie Xięstwo Litewskie — szeroko i daleko się rozlało na wschód, za jego daleką peryferją na wschodzie zaczęła się tworzyć nowa siła wybitna, która powstała z kolonizacji Słowian wschodnich wśród ludów fińskich i której sądzono było stać się potężnym ośrodkiem ogromnej Eurazji. Ta siła — to była Moskwa. Organizacja Eurazji była jeszcze zakłócona przez napady tatarskie. Wszakże rywalizujące o hegemonję Eurazji siły Tatarów i Moskwy obie poszły i toczyły się na zachód—bądź włąb lądu europejskiego, bądź do morza, i w tym swoim ruchu bezwładnie ciężkim, ale konsekwentnym, spotykały one na drodze barjerę imperjum litewskiego. Litwa, spełniając swoją funkcję ochrony wybrzeża i zaplecza bałtyckiego; musiała wytrzymać nacisk dwóch z dwóch stron przeciwnych idących ekspansyj—z zachodu chrześcijańskiego, z „Drang nach Osten” rycerskiej straży przedniej niemieckiej, i ze wschodu Eurazji, od Tatarów, od Moskwy. Moskwa ją kruszyć peryferje wschodnie imperjum litewskiego i, dążąc do morza Bałtyckiego a nie mogąc się przebić przez Litwę, poszła w tym kierunku dalekim obchodem okrężnym Litwy i rycerzy niemieckich—przez Nowogród, Psków, przez wybrzeże Ingermanlandzkie do zatoki Fińskiej.

Swoją funkcję bałtycką barjery imperjum litewskie spełniało długo i spełniało je bardzo mądrze. Władcy i politycy Litwy, którzy, jak to stwierdza historia, odznaczyli się także wybitnymi zdolnościami administracyjnymi na ziemiach Białej Rusi i Ukrainy, stosowali taktykę bardzo charakterystyczną, której prawdziwym artystą był Witold Wielki. Zmuszeni walczyć na dwa fronty, walczyli oni tu do spółki z zachodem przeciwko wschodowi, to znów do spółki ze wschodem przeciwko zachodowi. Jednych wrogów swoich czynili sprzymierzeńcami przeciwko drugiemu wrogowi i odwrotnie. Ich polityka była giętka, ich taktyka była mądra, dzielili oni wschód od zachodu i jeden wygrywali przeciwko drugiemu.

Skojarzona z Polską Litwa zdołała wreszcie zadać cios bolesny wspólnemu zakonnemu wrogowi zachodniemu. Po wstrzymaniu tej fali ekspansji

Litwini i Polacy wszakże nie zlikwidowali i pozostawili żywą jej straż przednią w Prusiech. Druga jej placówka straży przedniej na ziemiach Dźwiny i Estonji wprawdzie się zaczęła rozpręgać, ale w to rozpręganie wtrącać się jąły poza bałtyckimi czynnikami Litwy i Polski także czynniki zewnętrzne: Szwedów z północy, Skandynawskiej i Eurazyjskiej ekspansji Moskwy, która tu dotarła wyżej wskazanymi drogami szerokiego obejścia okrężnego.

Dopóki Litwa, która metodami imperjum swego zorganizowała siły straży Bałtyku aż po głębokie zaplecze bałtyckie, bądź sama bądź z Polską oddzielała wschód od zachodu i utrzymywała wyrazistość tej swojej geo-politycznej funkcji bałtyckiej, dopóty była ona żywa i mocna i dopóty zagadnienie bałtyckie nie było rozstrzygnięte metodami ekspansji zachodu i wschodu. Wszakże w samej metodzie imperjum wschodniego tkwiło niebezpieczeństwo dla tej funkcji Litwy. Już samo wcielenie rozległych przestrzeni Białej Rusi i Ukrainy, wydłużenie państwa litewskiego na wschód i południowy wschód, chociaż powiększało siłę fizyczną masy, ale jednocześnie wciągało energję polityczną Litwy w obce zagadnienia dzielnicowe i geo-polityczne. Sprawiało to jeżeli nie zupełnie odrazu przeniesienie punktu ciężkości z zagadnienia geo-politycznego bałtyckiego na inne zgoła odrębne, to w każdym razie wywoływało pewne rozproszenie energii, pewną grawitację od Bałtyki precz, zakłócającą wyrazistość i śmiałość idei i funkcji politycznej. W tym samym kierunku oddziaływał związek Litwy z Polską, jako krajem i państwem obszernego zaplecza, wciągając Litwę w zagadnienia Europy południowej i centralno-południowej, we front turecki, w sprawy węgierskie i rumuńskie i t. d. Rozstrzygnięcie zagadnienia samego wybrzeża bałtyckiego, stanowiące oś zagadnienia geo-politycznego bałtyckiego, było odwołane, zapomniane i wreszcie zostało w polityce litewskiej zaniechane, nie zaktualizowane. Były okazje i możliwości wyemancypowania jeżeli nie całego wybrzeża północno-wschodniego aż do zatoki Fińskiej, to przynajmniej Prus i Kurlandji i zlikwidowania w nich wytworów politycznych wstrzymanej ekspansji zachodniej, ściślej i solidarystycznie połączywszy je z Litwą. Tego wszakże nie uczyniono.

I podczas gdy malała i bladła moc i sama idea polityczna Litwy a zarazem jej współniczki dziejowej, Polski, z którą już Litwa była zespolona orga-

nego, a Siemaszko, Zubko, Łużyński i in. również tu znieprawili się doreszty. O ileby nie zabrakło autorowi chęci do zapisania pracowitości benedyktyńskiej pierwszych na konto wpływów tej szkoły, o tyleby zapewne nie chciał on twierdzić, że trójce apostołów i ich satelitów wychowało właśnie Seminarjum Główne. Trzeba więc konto uczelni tej odciążyć pod obydwo ma względami, a wtedy i znaczenie jej w życiu Kościoła u nas bardzo zmaleje. Tem bardziej, że istniała zaledwie lat 21 i to z przerwami.

Znowu co do polemiki z arbp. Symonem i ks. prof. Dobszewiczem, to Worotyński, wśród za innymi, chciałby możliwie osłabić niesympatyczną dlań opinię tego o prądach józefińskich, raczej ich słabym odbiciu, *in Seminario principali Vilnensi*. Uda się jednak dokonać takiej zmiany w poglądach tylko temu, kto powyższy temat weźmie za przedmiot osobnej dysertacji doktorskiej i zbada go wszech-

stronnie, a dogłębnie. Tymczasem takiej pracy jeszcze nie mamy. Głosu atoli arbp. Symona i ks. Dobszewicza lekceważyć nie wolno, dlatego że obaj byli chronologicznie o wiele bliżsi czasom Seminarjum Głównego, a zwłaszcza jego wychowankom, których poczet niemały znali jeszcze *osobiście*. Dysponowali tedy żywą ustną tradycją, której my już nie mamy. Ponadto arbp. Symon posiadał w Petersburgu niejeden dokument, który został w Sowietach i jest dla nas niedostępny.

Właściwie refleks józefinizmu w naszym kraju czeka na bezstronnego historyka, któryby przedstawił go nam nietylko na terenie Seminarjum Głównego, lecz naogół w całym życiu Kościoła na Litwie. Jeśli józefinizm oddziaływał u nas, to oddziaływał też na Kolegium Duchowne w Petersburgu, ordynaryjaty arcybiskupie i biskupie obojga rytów, kapituły, konsystorze—kurje, klasztory, wszelkie szkoły duchowne... Dlatego trudno żądać, by jakiś biskup

nicznie — moc dwóch ośrodków ekspansji zewnętrznej na Bałtykę — Moskwy i Prus — rosła i zyskiwała na wyrazistości. Już obok Prus na zachodzie i eurazyjska Moskwa mocno się usadowiła na wybrzeżu Bałtyckim na wschodzie. Litwa je jeszcze dzieliła, ale już jej energja, jako barjery, była nie ta, co poprzednio. Raz jeszcze wielki król Stefan Batory podniósł sztandar polityki bałtyckiej i czynami swemi wskrzesił starą funkcję straży Bałtyku na rzecz utrzymania wolności Bałtyki przeciwko falom zalewu Eurazji. Był to już wszakże tylko promień przelotny słońca bałtyckiego w atmosferze zachmurzonego wieczoru zachodzącego.

Jeszcze raz się burza zerwała nad Bałtyką — tym razem była to fala nowej ekspansji zewnętrznej — z północy — ze Szwecji. Gdy wszakże ona została odparta siłami nie tyle samej Bałtyki, ile Moskwy, i gdy po zlikwidowaniu tej nowej dywersji wschód połączył się z Zachodem i ostatni zachwiany już posterunek straży wolności Bałtyki uczynił mostem, — wtedy zginął odwieczny rycerz Bałtyku, zginęła Pogoń książąt litewskich, zginął i Orzeł Polski. Rzeczpospolita Litewsko-Polska została rozdarta i porzebrana. Wschód i Zachód — Moskwa i Prusy — podzieliły się Bałtyką, ujarzmione zostało tak wybrzeże bałtyckie, jak zaplecze jego. Dwie ekspansje historyczne na Bałtykę z zachodu i ze wschodu osiągnęły swój cel i zlikwidowały zagadnienie bałtyckie kompromisowo.

(Dok. nast.).

Michał Römer.

Wybory obecne do Sejmu i Senatu tem się przede wszystkim różnią od wszystkich wyborów ubiegłych, że walka o kandydatury odbywa się w ramach jednego obozu politycznego. Wobec bojkotu wyborów przez opozycję i mniejszości narodowe (z wyjątkiem Żydów i częściowo Ukraińców) bezspornym panem placu jest Blok Bezpartyjny, w łonie którego jednakże panują dość rozbieżne prądy, które nieco urozmaicają przebieg wyborów. Mają one wszakże charakter nie tyle ideowy i programowy, co koteryjny i personalny.

Z tego też względu obserwatorowi z boku trudno się zorientować, kto i dlaczego popiera tę a nie inną kandydaturę. Amatorzy totalizatora mają tu szerokie pole do uprawiania hazardu. Wiemy o szeregu zakładów, przyczem za faworytów na torze wileńskim uchodzą prezydent Małeszeński

i rabin Rubinsztejn. Pozostali są niepewni. Jeżeli przejdzie p. Hermanowicz, to ci, co stawiają na fuksa, grubo się obłowią.

Pozatem, zdaje się, wybory emocjonują również redaktorów obu wileńskich dzienników prorządowych, ponieważ obaj figurują na liście kandydatów.

Litewska i białoruska książka w Polsce.

(Przegląd za lata 1933 i 1934).

Literatura mniejszości narodowych w Polsce pojęta w znaczeniu najbardziej szerokim, a więc zawierająca w sobie to wszystko, co w danym języku ukazało się w druku, jest liczebnie nieproporcjonalnie różnorodna w stosunku do cyfry ludności. Najwięcej drukują Żydzi (po żydowsku i hebrajsku), potem Ukraińcy i Niemcy.

Zestawienie produkcji wydawniczej Niemców, Rosjan i Białorusinów wypada na wielką niekorzyść tych ostatnich. Rosjanie, których liczba w Polsce jest stosunkowo nie wielka, w każdym razie znacznie mniejsza od Białorusinów, drukują prawie tyleż lub nawet nieco więcej niż ci ostatni. Białorusini zaś, którzy cyfrą ludności w granicach Rzeczypospolitej dorównują Niemcom, swojemi wydawnictwami nie osiągają nawet piątej części tego, co w tym samym czasie piszą Niemcy.

Nie wdając się narazie w przyczyny tego zjawiska, chcę na tem miejscu zilustrować przedmiotowo i cyfrowo książkę białoruską i litewską, która w ostatnich 2 ch latach wyszła spod prasy drukarskiej w Polsce.

Przedtem jednak muszę nadmienić, że od roku 1929 ukazuje się nakładem Instytutu Badań Spraw Narodowościowych w Warszawie „Bibliografia mniejszości narodowych w Polsce” w opracowaniu Piotra Grzegorzczaka.

Niestety, jednak metoda zastosowana przez autora w poszczególnych rocznych „Bibliografiach”, (ostatnia za rok 1932 wyszła w r. 1933) pozostawia wiele do życzenia.

Autor bowiem włącza do rubryk poszczególnych narodowości oprócz właściwych druków w tych językach, także i te wszystkie dzieła, które niepisane w danym języku, bezpośrednio jednak dotyczą odpowiedniej mniejszości. I tak, na przykład, w dziale

lub władcyka z początków w. XIX, wydający listy pasterskie, naszpikowany niemal w każdym wierszu takimi wyrazami, jak *Monarcha*, *Najwyższa Wola*, *Pomazaniec Boży*, *Wielki* lub *Wielkoduszny Cesarz nasz* i t.d., i t.d. mógł odczuwać drobne odchylenia Seminarjum Głównego, jeśliby te i były. Osądzając je, sądziłby siebie samego. Więc brak o tem wzmianek, na co kładzie Worotyński taki akcent dowodowy, nie jest tu nawet argumentem negatywnym. Dla przyczyn analogicznych, przytoczona u Bielińskiego opinja bpa Zdanowicza o Seminarjum Głównem jest typowem *iudicium in propria causa*.

Nie przekonywa także okoliczność, że gdy Seminarjum Głównie w Wilnie było *in Werden*, seminarja józefińskie w Austrii już nie istniały, bo nic bardziej zrozumiałego, jak przybycie do nas jakiegoś prądu z Zachodu z opóźnieniem. Praktyczny józefinizm istniał u nas jeszcze bardzo długo, nie zczcił w w. XIX, przekroczył próg w. XX... Ostatni,

znany osobiście niżej podpisanemu, józefinista zmarł czasu wojny światowej.

Poza tem prawie nie różnimy się z autorem cennej pracy, budzącej w nas pełne uznanie dla sumiennego badacza. Zostają więc tylko różne drobne uwagi. Arcbp. Symon, pisząc o powstaniu Seminarjum Głównego nie wymienia wcale Adama Czartoryskiego dla tej prostej przyczyny, że w pierwszym ćwierćwieczu stulecia XIX dosłownie nic u nas nie działo się w dziedzinie oświaty bez jego wiedzy i udziału. Mówiąc o Alumnacie Papieskim w Wilnie, pominął autor, że ta szkoła misyjna miała na względzie pozyskanie dla unji nie tylko Wielkorusów (Rosjan w w. XVI jeszcze nie było!) i Rusinów wszelkiej barwy, lecz też powrót na łono kościoła protestantów w Inflantach, wzgl. w Szwecji, co świeżo odpadli od jedności kościelnej. Tak zwykle dotychczas formułowano rację bytu Alumnatu. Jeśli mylnie, należało sprostować, a chętniebyśmy

„Litwini” i „Białorusini”, podane są nie tylko książki litewskie i białoruskie, ale także druki nielitewskie i niebiałoruskie, omawiające, względnie pośrednio dotyczące tych narodowości w Polsce.

Oczywiście, że w ten sposób cyfra tak rozszerzonej produkcji znacznie się zwiększy, ale oczywiście jest również, że nie może ona być miarodajnym wskaźnikiem ruchu wydawniczego Litwinów i Białorusinów.

Miarą jedynie i przede wszystkim właściwą, jeśli chodzi o ocenę rozmiarów produkcji piśmiennej danej mniejszości, stanowią tylko książki we właściwych językach. W wyjątkowych tylko wypadkach książki w obcym języku zaliczyć można do twórczości danej mniejszości. Zdarza się to czasami z literaturą żydowską w Polsce, ale prawie nigdy, lub bardzo rzadko trafia się w stosunku do mniejszości białoruskiej czy litewskiej.

Zestawienia bibliograficzne Grzegorzcyka mają i tę jeszcze słabą stronę, że nawet po odtrąceniu tych pozycji w gruncie rzeczy obcych nie otrzymamy właściwej cyfry, któraby nam o rozmiarach ruchu wydawniczego poszczególnej mniejszości mówiła choć w przybliżeniu.

Żeby nie być gołosłownym, przytoczę przykład: oto według „Statystyki druków” (Warszawa 1932), wydano w tym roku książek białoruskich w Polsce—32, wtedy gdy w „Bibliografii” Grzegorzcyka będzie ich tylko—7.

Są to różnice zbyt rażące.

*

Omówienie w niniejszym artykule książki białoruskiej i litewskiej opieram przede wszystkim na „Urzędowym wykazie druków” za rok 1933 i 1934.

A więc najpierw dane cyfrowe: i tak w r. 1933 ukazało się w Polsce książek białoruskich—27, litewskich—10, w roku zaś ubiegłym—29 białoruskich i tylko 6 litewskich. Większość z nich wydana została w Wilnie, i tylko 2 białoruskie i 1 litewska w Warszawie i po 1 białoruskiej w Białymstoku i we Lwowie.

Wśród książek białoruskich największa ilość przypada na literaturę piękną. Obrazki sceniczne, poezja, powieść, historia literatury i krytyka literacka ma ogółem 14 pozycji. Broszur o treści politycznej wyszło—7. Folklor reprezentują 2 książki, historię 4, ekonomikę, gospodarstwo rolne i zagad-

nienia społeczne—9, medycynę i higienę—2. Poza tem 2 kalendarze i tylko 3 książki o charakterze religijnym, ale za to 12 podręczników dla samouków głównie z dziedziny spółdzielczości i towaroznawstwa, wydane przez „Zawochny kurs Kooper. pry red. „Samapamačy”, w kilkudziesięciu zaledwie jednak egzemplarzach i to pismem maszynowym odbijanych na powielaczu.

Wreszcie w dziale białoruskim włączony jest jeden rocznik naukowy, „Hadavik Bełaruskaha Navukovaha Tavarystva” r. 1933, drukowany z zasiłku Ministerstwa W. R. i O. P.

Najwyższy nakład poszczególnego druku białoruskiego nie przekracza 2000 egzemplarzy, wyjątkowo tylko broszura społeczno-ekonomiczna Babrauskiego Antoniego p. t. „Čamu ciapier ciaska żyviecca ziemlarobam” wydana przez Białoruską Biblij. Ludową ma nakład 6000 egz.

Broszury o charakterze polemicznym i treści politycznej drukowane są w ilościach nie większych niż w półtysięcznym nakładzie.

Stosunkowo większy nakład osiągają druki z działu literatury pięknej (1000 egz.), a najwyższy (2000 egz.) broszury popularne ekonomiczne, jak np. tegoż Babrauskiego „Jak palepšyc życie sialanstwa”, oraz książki religijne, których wszakże, jakieśmy widzieli, w omawianym okresie wyszło tylko 3.

Wpływu produkcji wydawniczej polskiej na białoruską nie znać zupełnie: w omawianym okresie nie przetłumaczono na białoruski ani jednej książki polskiej.

Natomiast przetłumaczono na język białoruski z łaciny św. Tomasza z Kempis „Śledam za Chrystusam” dr. St. Hrynkiewicza, z ukraińskiego—Kosovskiego „Dlja bliźnich”, dramat w 4 aktach w wydaniu „Samapamačy”, i z litewskiego—Keturakisa „Ameryka u łaźni” komedia w 3 aktach w tłum. St. Marcinkiewicza.

Produkcja naukowa ogranicza się prawie całkowicie do wspomnianego Rocznika Białoruskiego T-wa Naukowego, z którego artykuły wyszły i w osobnych odbitkach.

Wreszcie w wydaniu Tow. Biał. Oświaty Iljaševič Chvedar drukował pracę p. t. „Jadvihin Š. (Anton Ljavicki)” Wilno 1933, a w wydaniu T-wa pryjacelcu Bełarusovedy przy U. S. B. — Pjacjukevič Marjan — Čvahi dzela zapisyvańnja bełaruskaj narodnaj tvorčaci i abrađau..., Wilno 1933.

usłuchali młodego adepta wiedzy historycznej. — Ówczesne seminarja diecezjalne dalekie były od wycucia istotnych potrzeb autochtonów kraju, w którym rozbiły swe namioty. Oto spośród przedmiotów świeckich miano w nich wykładać *języków obcych tylko tych, których znajomości będą wymagały warunki lokalne (!)*, więc w mohylewskim i wileńskim... niemieckiego i łotewskiego, w łuckim... francuskiego, w kamienieckim... włoskiego. Zapewne w mińskim wykładano... hiszpańskiego lub portugalskiego... I to wszystko pod hasłem uwzględnienia warunków *lokalnych!* *Canis a non canendo.*

Mimo całej sympatji do ówczesnych szkół parafjalnych, których zasług dla oświaty krajowej wcale nie umniejszamy, trudno uwierzyć, że według Worołyńskiego, przez zgromadzenia zakonne *wzorowo* były *wszędzie* prowadzone. To zbyt różowo. O Seminarjum Głównem w Wilnie można z perspektywy dziejowej powiedzieć słowami Pisma św.: *Zyjąc czas*

krótki, przeżył czasów wiele. Zwłaszcza wstrząsów wszelakich nie szczędził mu los niełaskawy. Po długich ceregielach, lecz bez większego widać namysłu, ulokowało się powstające Seminarjum w niskim, a wilgotnym, zapewne wskutek wód podskórnych, gmachu po augustjańskim na Bakszcie, (gdzie dziś żeńska bursa U. S. B.), w pobliżu zapowietrzonego szpitala bpa Gosiewskiego, co b. ujemnie się odbiło na zdrowiu alumnów. Nie zaopatrzone ich w niezbędne pomoce naukowe, natomiast na osobę alumna wydawano po 2 funty mięsa *dziennie!* Wybór na pierwszego regensa prałata łuckiego ks. Gładysz-Znamierowskiego okazał się niefortunny. Okazał się „względem pieniędzy publicznych niedelikatny”. Takie porządki w instytucji lub zakładzie nazywamy dziś *bałaganem*. Lecz nie na tem koniec. Alumni bowiem konwiktory wywoływali zatargi, nawet w *kościółce seminaryjnym*, i to w pełnych powagi religijnej dniach, jak Wszystkich Świętych i Zadzusz-

W dziale literatury pięknej trzy pozycje zajmują utwory M. Mašary, mianowicie poezje („Na sonečny barah!”), poemat („Šmerć Kastusja Kalinouškaha” i obrazek dramatyczny w 2 odsłonach („Voš tut i zrazumej”...) wyd. przez Tow. Beł. Ašvety; następnie wiersze i bajki Byliny Janki („Na pakuci. Bajki i różnyja wierszy”), wyd. Bieł. Inst. Hasp. i kultury; nowele Hušči Tarasa („U starych dubow — Dzeravenščyna.—Złučylisja.”) wyd. przez Tow. Ośw. Biał., oraz kilka rzeczy pomniejszych.

To mniej więcej wszystko, co dałoby się powiedzieć w artykule informacyjnym o ruchu wydawniczym białoruskim.

Dorobek litewski przedstawia się jeszcze skromnie. Literatura piękna: komedia Bajoraitisa—Kanopka p. t. „Dansų prieglobstyje”, (odb. z „Menas ir Literatura” N 1) i tłumaczenie Defoe Daniela „Robinzona”, przez dr. J. Šlapelisa, wydane anonimowo jako przedruk z wyd. 1925 r.

Z historii popularna broszura ks. Wiskonta „Kražiai” z okazji zeszłorocznej rocznicy wypadków krożańskich. Z medycyny broszurka dr. M. Zacherta wydana z zapomogi Ministerstwa w Warszawie o zabięch przeciwwjaglicznych.

Pozatem broszury Sakavičiusa V — „Gana tyletil”, Vilnius 1934, oraz Šikšnisa M. „Pastabos del musų vardų, pavardų ir rasybos reformos” Vilniuje 1933.

Z polskiego przetłumaczony został znany podręcznik Matematyki Rusieckiego i Zarzeckiego przez Budrewicza. Wreszcie dwa kalendarze i trzy książki religijne. To i wszystko.

*

Oto cały przegląd ruchu Wydawniczego Białorusinów i Litwinów w Polsce za ostatnie dwa lata.

Że dorobek ten nie zaspakaja potrzeb kulturalnych zwłaszcza ludu białoruskiego, tego chyba dowodzić nie potrzeba. Litwini są w sytuacji o tyle lepszej, że braki swe mogą do pewnego stopnia zapełnić produkcją kowieńską; natomiast dla chłopca białoruskiego każdy świstek papieru zadrukowany po tamtej stronie kordonu staje się w obecnych warunkach nie tylko tem co się zowie „trucizną moralną”, ale przede wszystkim dowodem „zbolszewizowania” i aktem oskarżenia. Tymczasem cały „radikalizm” takiej książki polega jedynie na tem, że była drukowana w Mińsku.

Wobec takiego stanu rzeczy wieś białoruska przeważnie nic nie czyta i grzęźnie w ciemnocie, chociaż mocno odczuwa brak słowa drukowanego.

nym. Były też bójkki aż do krwi. Kary i represje skutkowały mało.

Drugim regensem był ks. Jędrzej Kłagiewicz. Trudno mu coś zarzucić, jednak dyscyplina uczelni wciąż pozostawiała wiele do życzenia. Alumni źle zachowywali się na nabożeństwach, na ulicy zaś zupełnie nie przestrzegali właściwej stanowi powagi. Doszło wreszcie do tego, że wykradali się pokryjomu w nocy z seminarjum do miasta, odwiedzając przytem nawet domy nierządu.

Ale przyszedł r. 1812, Seminarjum zostało zawieszona, a soldateska, swoja i obca, pracowały zgodnie nad doprowadzeniem gmachu do ruiny. Nikt nie był zadowolony z Seminarjum Głównego i zaprojektowano jego zniesienie. Trzeba było bronić się przed zarzutami. Kłagiewicz okazał się dobrym dialektykiem i doprowadził do wskrzeszenia.

Oczywiście szczupła i niezamożna inteligencja białoruska własnymi siłami tego głodu zaspokoić nie może. Państwo zaś nie poczuwa się do obowiązku przyjsia jej z pomocą.

Nie zaszkodziłoby poddać analizie dane statystyczne, dotyczące produkcji wydawniczej polskiej w naszym kraju. Jakby wyglądał cyfrowy rezultat, gdyby odrzucić to wszystko, co się drukuje kosztem skarbu lub przynajmniej przy wydatnej jego pomocy?

E. Gulczyński

WOLNA TRYBUNA.

Niesłuszne zarzuty.

(W odpowiedzi p. H. B.)

„Lud czy naród?” Pod takim tytułem w rubryce „Wolna Trybuna” w „Przeglądzie Wileńskim” z dnia 29.VII. r. b. przeczytałem artykuł i zdumiałem się. Zdumiałem się wobec tych niesłusznych i krzywdzących zarzutów, które p. H. B. (kryptonim autora artykułu) czyni białoruskiej chadecji.

Sedno artykułu w tem, że BCHD naród białoruski uważa rzekomo za lud czyli za masę, pozbawioną swej narodowej świadomości, jak również pozbawioną dążenia do swej kultury narodowej i że pod tym kątem widzenia prowadzi całą swą działalność. Dowodem tego, a zarazem i punktem zaczepnym w tej sprawie służy panu H. B. „Białoruskaja Krynica” z dnia 10.VII r. b., która według niego „uważa za możliwie zestawiać Białorusinów z... Negrami”. Biorę więc wspomniany numer „Bieł. Krynicy” i czytam wstępny artykuł: „Wyzwolnija imknieñni nehraŭ”. W artykule tym znajduję opis wywoleńskich dążeń Murzynów z pod panowania białych oraz... życzenie pomyślności ze strony Białorusinów swym czarnym braciom (dosłownie!). I nic więcej. „Zdrożne” zestawienie Białorusinów z Murzynami p. H. B. prawdopodobnie widzi w tem, że „Bieł. Krynica” owych czarnych ludzi nazywa swymi braćmi. I owszem. Każdy rzetelny nie tylko chrześcijanin, ale i humanista postąpi w tym wypadku nie inaczej. W każdym razie z tego bynajmniej nie wynika, iż BCHD swojego narodu za naród nie uznaje. A właśnie tak twierdzi p. H. B. Oto mówi on dosłownie: „Działalność chadecji białoruskiej zagadnienie narodowe w praktyce jak gdyby stara się zacieśnić do zagadnienia ludowego”... Chadecja, —

Worotyński w omawianej pracy prostuje błąd, który pokutował u Kraszewskiego, Przyłgowskiego i in., jakoby ongi każdy biskup wileński sprawował *ex officio* urząd kanclerza Akademii Wileńskiej, tymczasem nawet za jezuitów nigdy tego kanclerstwa nie było, cóż mówić o uniwersytecie cesarski! Był to czczy komplement, używany tylko przez zakon *made in Cracov* względem przychylnych *Societati Jesu* biskupów wileńskich. Bp. Kossakowski wziął ten tytuł na serjo, no i oczywiście, przegrał. Sekcja teologiczna (wydziału ściśle nie było) b. uniwersytetu wileńskiego pozostała od biskupa diecezjalnego całkiem niezależna.

Czartoryski ulegał sam prądom józefinistycznym, jak to widać z jego listów do bpa Stroynowskiego, nie dziw że montowanie owej sekcji szło ciężkawo. Rzecz ciekawa, w ówczesnej formule pro-

przecząc sam siebie twierdzi dalej p. H. B., — chociaż pracę swą kieruje „do budzenia świadomości narodowej”, do „przerostu kultury narodowej jednakże przyczyniła się minimalnie”. BCHD bowiem dąży aby: „W dziedzinie kulturalno-oświatowej — dać ludowi wiedzę w postaci najpopularniejszej — jak dzieciom. W twórczości literackiej — „dobre chęci” uważać za dostateczne, by zastąpić talent, zastąpić piękno. W kształcie muzycznym — ograniczyć się do bardzo skromnego śpiewnika, zwracać ludowi jego własną twórczość. Życie duchowe — zacieśnić do spraw konfesjonalnych... I to wszystko. Kultura — w minjaturze!” A przecież tempo rozwoju kultury białoruskiej — kontynuuje p. H. B. — takie „ślimacze” być nie powinno. „Nasza Niwa” w swoim czasie odegrała wybitną rolę właśnie dlatego, że przemawiała do włościan białoruskich jak do ludzi dorosłych, a nie dzieci. W tem sekret powodzenia „Naszej Niwy” kończy rezolutnie p. H. B.

Z pod pióra pana H. B. jak widzimy, wyszedł obraz BCHD wprawdzie jaskrawy, ale zgoła fałszywy. Przygodny czytelnik „Przeglądu Wileńskiego”, nie obeznany z życiem białoruskiem, a więc z działalnością i obliczem ideowym BCHD, po przeczytaniu artykułu p. H. B. zapewne pomyśli: co za matolki w tej BCHD! A tymczasem w rzeczywistości znajdujemy się tam kwiat białoruskiej inteligencji, są tam ludzie kulturalnie naprawdę europejscy, których poglądy i praca bynajmniej tak ograniczone przecież nie są.

Ale bliżej do sprawy. Przedewszystkiem nie jest sekretem, że chociaż Białorusini to naród, co BCHD w swej „Krynicy” twierdzi aż do znudzenia, to jednak obok mas narodowo świadomych, które naprawdę stanowią już naród, są masy niestety jeszcze o żnikomej świadomości narodowej, a często i o żadnej. Otóż tę nieświadomą masę, ten lud białoruski BCHD od lat dwudziestu rzetelnie a wyjątkowo wytrwale budzi do świadomości narodowej białoruskiej i pracuje na polu kultury białoruskiej.

Powiem więcej — BCHD w życiu białoruskiem jest dzisiaj bodaj jedynym kierunkiem ideowym, który tak naprawdę ofiarnie i konsekwentnie wśród mas białoruskich wykrzesza i szerzy już nietylko bezkształtną ogólnikową ideę białoruską narodową, ale również usilnie i skutecznie pracuje nad białoruską ideologią narodową.

W chwili smutku i załamań narodu białoruskiego, kiedy powstawały i zaraz że, nie mając wła-

nie ideologii narodowej, upadały białoruskie organizacje i stronnictwa, kiedy nawet niektórzy dawniejsi kierownicy ruchu białoruskiego, również dla braku ideologii narodowej, uważali za możliwe swą narodowość łączyć z polską, tworząc naprawdę dziwną symbiozę narodową „białorusko polską”, — BCHD zawsze pozostała wierną swym ideałom narodowym i skutecznie pracowała nad ich pogłębieniem i rozwojem w szerokich masach białoruskich, nie zapominając nigdy, a raczej na czołowe wysuwając miejsce pracę właśnie na niwie kultury narodowej.

Ale mimo to wszystko BCHD mało przyczyniła się „przerostu” kultury narodowej — powiada p. H. B. Zapewne, że mało w porównaniu do ideowych swych zamierzeń, w porównaniu do tego, czego naród białoruski nie ma, a co musi zdobyć, jeśli chce zająć równe miejsce wśród narodów kulturalnych, ale w porównaniu do innych białoruskich kierunków BCHD dla białoruskiej kultury narodowej zrobiła i robi dzisiaj bardzo dużo, bo inne kierunki dzisiaj pod tym względem niestety nie robią bodaj nic, ograniczając się jedynie do krytyki tej-że chadecji.

Lepiej mniej, niż nic. Są sprawy dobre i lepsze. Dobrą jest sprawą to, co dla białoruskiej świadomości oraz dla kultury narodowej BCHD dokonała, ale byłoby lepiej, gdyby dokonała ona więcej. Dobrą jest sprawą także — biorę to dla przykładu — troskliwa opieka Białoruskiego T-wa Naukowego w Wilnie nad zabytkami muzealnymi oraz nad ksiązkami, które zgromadził jeden z pionerów białoruskiego odrodzenia narodowego ś. p. Jan Łuckiewicz, ale byłoby jeszcze lepiej, gdyby owe szanowne T-wo, nie poprzestając na wydaniu raz na 15 lat „Hadawika” — nota bene, — mówiąc językiem p. H. B., w postaci „najpopularniejszej”, opracowało i wydało chociażby katalog tego wszystkiego, co T-wo posiada i tem umożliwiło pracę Białorusinom, którzy chcą i umieją pracować naukowo. Niestety, ani takiej, ani innej pracy Białoruskiego T-wa Naukowego dotychczas prawie nie widać. Natomiast owa tak poniżona przez p. H. B. BCHD nie przestaje wydawać białoruskiej książki za książką, czasopisma za czasopismem i przez nie nieść w lud białoruski oświatę i wiedzę. Proszę wziąć katalog (opracowany i wydany też przez chadecję!) książek białoruskich wydawanych w Wilnie i zobaczyć, kto najwięcej tworzy i rozwija u nas białoruską kulturę narodową? Własnie w przeważającej mierze to czyni BCHD lub też organi-

racji doktorskiej stało wyraźnie *Ill. Rdm. Dnum N.V. Lithuanum...* Względem oszczędności odczuwały się, chociażby w takim ujęciu rzeczy: *Kaznodziejstwo Uniwersytetu zanadto drogie a niepotrzebne.* Worotyński nie ma pojęcia właściwego o typie profesora seminarjum diecezjalnego (*potrafi wykładać całokształt nauk teologicznych, żadnej z nich gruntośnie nie znając*). Zdarzały się curiosa. Tak w r. 1808 zgłaszał się do sekcji teologicznej w Wilnie nieborak ksiądz, który jeszcze w r. 1789 złożył egzamin na stopień doktora teologii, ale przez pomyłkę (!) otrzymał doktorat obojga praw! Acz ówczesna inteligencja świecka nie była liczna, chciano jej tytułami doktorskimi dorównać i zaimponować. Kler też był szlachecki, stanowy, dziśby powiedzieliśmy klasowy. Podwoje takiej uczelni rychło przyjęły młodych szlachciców Siemaszkę, Zubkę, Łużyńskiego i in.

Język dysertacji czasem szwankuje. Pisownia nieustalona: *Augustyanie* i *Augustjanie...* Raz użyto: *publiczność* zamiast *ogół*.

Mimo tych drobiazgów, dysertacja doktorska Worotyńskiego jest doniosłej wartości dla historii Kościoła na Litwie i Białorusi. Gorąco pragniemy ujrzeć rychło jej dokończenie, czyli dzieje Seminarjum Głównego w Wilnie od r. 1816 aż do zamknięcia. Omówiona tu praca najbardziej do tego predestynuje autora.

Vigilans.



zacje w ten lub inny sposób z nią współpracujące.

Co się wreszcie tyczy zasług, popularności i znaczenia dla sprawy białoruskiej „Naszej Niwy”, to te najzupełniej się pokrywają właśnie z jej prostotą, bliskością do ludu, z jej rzetelną pracą narodową i oświatową, podaną w formie prostej, dostępnej dla szerokich mas białoruskich. W ten właśnie a nie w inny sposób postępuje w swej pracy dzisiejsza BCHD, dostosowując się oczywiście do współczesnych potrzeb i wymogów narodu białoruskiego.

Słowem, zarzuty pana H. B. postawione BCHD są urojone, najzupełniej niesłuszne i krzywdzące.

M. B.

Znamienne ochłodzenie.

Sześć lat temu w Wilnie odbyła się uroczysta inauguracja Żydowskiego Instytutu Naukowego, znanego szeroko pod skrótem JIWO. Na zaproszenie zarządu tej instytucji na uroczystość przybyli zarówno władze, jak i liczni reprezentanci polskiego świata naukowego, witając narodziny w naszym mieście nowej placówki naukowo-badawczej.

W ciągu tych kilku lat (od swego powstania zagranicą—dziesięciu) Instytut prowadził intensywną pracę naukową, stojąc na tem stanowisku, iż życie współczesne wymaga oparcia kultury żydowskiej nie na zasadach konfesjonalnych — Biblii i talmudzie, lecz na zasadach narodowościowych we współczesnym rozumieniu tego słowa. Religja nie jest i nie może być pierzelem narodowości u Żydów, jak było dawniej, tem bardziej, iż dla szerokich sfer inteligentkich i robotniczych utraciła ona swe dawniejsze znaczenie. Nowa kultura narodowa Żydów musi być nową z ducha, musi się opierać na tych nowych wartościach, które tworzą współcześni poeci, artyści oraz inni intelektualiści żydowscy.

Stanowisko to Instytutu ujawniło się zarówno w ogólnym kierunku jego działalności, jak i w wyborze języka ludowego, który elitę umysłową wiąże z masami. Wywołało to nieprzychylnie do Instytutu ustosunkowanie się hebraistów i ortodoksów, natomiast pozyskało gorącą sympatję mas pracujących oraz elementów szczerze postępowych w społeczeństwie żydowskim w kraju i zagranicą. W instytucie biorą udział intelektualiści całego świata z imionami tej miary, jak Albert Einstein, Zygmunt Freud, Szymon Dubnow i inni.

I oto stała się rzecz dziwna. W miarę tego, jak Instytut rośnie w siły, jak żydowska praca naukowa wyodrębnia się w integralną i samodzielną całość pod sztandarem narodowym, jak nauka żydowska staje się samodzielnym poważnym czynnikiem kultury wszechświatowej, — w społeczeństwie polskim zainteresowanie Instytutem, tak demonstracyjnie zaznaczane przed laty, słabnie i maleje. Mieliliśmy tego dowód na otwarciu zjazdu Instytutu, który się rozpoczął w dniu 14 sierpnia w sali teatru ludowego (ul. Ludwisarska) w Wilnie. Pomimo szeroko rozesyłanych zaproszeń, władze były reprezentowane tylko przez...pełniących swe obowiązki służbowe policjantów, społeczeństwo polskie na uroczystość nie przybyło wcale. Poza depeszami rektora Staniewicza, prof. Kościalkowskiego i zarządu Biblioteki im. Wróblewskich strona polska niczem swego zainteresowania żydowską placówką naukową nie ujawniła...

Nie mogło to być dziełem przypadku, gdyż — pomimo feryj letnich — spotykamy na ulicach miasta licznych reprezentantów polskiego świata naukowego. Jest to raczej wynik ogólnego nastawienia społeczeństwa polskiego w stosunku do żydowskiego ruchu kulturalnego, opartego na zasadach nie konfesjonalnych, lecz — narodowych. Przypuszczać należy, iż odegrały tu poważną rolę względy polityczne: w przemówieniach na inauguracji Zjazdu wyraźnie się wyczuwać dały tendencje antyfaszystowskie, dotyczące nie tylko faszyzmu niemieckiego...

Spółczeństwo żydowskie, a w pierwszym rzędzie przepełniona po brzegi obszerna sala teatru ludowego przykro odczuły tę obojętność. Uwidocznili się to zarówno w owacjach, którymi zostali spotkani reprezentanci białoruskiego i litewskiego towarzystw naukowych (p.p. Łuckiewicz i ks. Wiskont), witający zjazd każdy w swym języku, jak i w dalszych przemówieniach żydowskich. Szczególnie ujemne wrażenie brak reprezentacji polskiej wywołał na licznych delegatach, przybyłych na zjazd z całego świata; Palestyny, Francji, Austrii, Rumunii, Łotwy, Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Argentyny, wreszcie — Litwy, z której jak mówił tamtejszy delegat, trudniej jest do Polski przyjechać niż z owych dalekich krajów zamorskich. Wywiozą oni z Wilna przykre wspomnienia o „tradycyjnej” polskiej tolerancji i niemniej „tradycyjnej” gościnności.

Czyżby miał rację ów działacz z obozu B. B., który niedawno w rozmowie z reprezentantem społeczeństwa żydowskiego na temat stosunkach polsko-żydowskich rzucił takie charakterystyczne:

„O sympatje żydowskie dziś nie mamy potrzeby zabiegać. Bo dokąd wy pójdziecie: do opozycji endeckiej? Ależ to niemożliwe: jeżeli my wam nic nie damy, to endecy pozbawią was i tego, co jeszcze posiadacie”.

Dem.

Z mego notatnika.

Plon sezonu ogórkowego.

Tegoroczne lato naprawdę było wyjątkowe. Panujące w ciągu dwóch miesięcy chłody nie odebrały ludziom, jak to bywa zwykle w okresie wakacyjnym, energii i przedsiębiorczości, gdyż w sierpniu ukazały się w Wilnie aż dwa nowe czasopisma. Zjawisko niesłychane dotąd w sezonie ogórkowym. Może wpłynęły na to wybory, chociaż nie sądzę, gdyż właśnie wyborom oba pisma poświęcają bardzo mało uwagi.

Jedno z nich, dwutygodnik literacko-społeczny „Prostu” wogóle nie interesuje się zbyt życia miejscowym. Obchodzą je głównie sprawy szersze i dalsze. „Imperjalistyczna gra o Abisynję” pióra p. Henryka Dembińskiego, „Rozkład Awangardy” p. Anatola Mikułki, „Międzynarodowy kongres pisarzy w obronie kultury” p. Marji Żeromskiej, „Front ludowy we Francji — zaporą przeciw faszyzmowi” p. Stefana Jędrzychowskiego — oto tytuły wybitniejszych artykułów w pierwszym numerze wspomnianego dwutygodnika. Podobno ukazał się już i drugi numer, ale nie zdarzyło mi się go mieć w ręku. Pierwszy numer jednakże aż nadto wyraziście maluje oblicze ideowe redakcji. Dziwić się można, że „Słowo” dotąd nie uderzyło na alarm z tego powodu.

Należę do zanikającej już generacji dziennikar-

skiej, która nie uznaje współczesnych metod publicystycznych. Wzywanie interwencji władz bezpieczeństwa w walce społeczno-ideowej jest dla mnie chwytem niedopuszczalnym i obrażającym moje poczucie etyczne. (Pod tym względem „Kurjer Wileński“, mający błogą nadzieję, że sąd zatwierdzi konfiskatę administracyjną „Dziennika Wileńskiego“, nie ustępuje organowi p. St. Mackiewicza). Niemniej podzielam w zupełności stanowisko negatywne „Słowa“ w stosunku do działalności p. p. H. Dembińskiego, St. Jędrzychowskiego i towarzyszy, a przewszystkiem nie rozumiem jej celu i potrzeby na naszym gruncie.

Zwalczanie kapitalizmu i faszystów w imię interesów mas pracujących jest niewątpliwie robotą uzasadnioną tam, gdzie dwa te czynniki społeczne występują jaskrawo i ostro ze sobą się ścierają. Ale u nas w wegetującym zaledwie Wilnie i w naszym kraju o prymitywnej strukturze ekonomicznej? Nie mamy tu prawie kapitalistów, bo wogóle kraj nie posiada kapitałów. Nie mamy również odrębnej klasy proletariackiej, bo cała ludność jest proletariatem. Nie mamy wreszcie inteligencji, która by mogła się przejąć ideologią redaktorów „Poprostu“, bo kadry naszej inteligencji w olbrzymiej większości stanowią urzędnicy państwowi...

Dla kogo więc jest przeznaczone nowe pismo? Chyba na eksport. Ale czyż leżące zdala i na uboczu Wilno może być tym ośrodkiem, z którego by promieniowała „dobra nowina“, głoszona przez p. p. Dembińskiego i Jędrzychowskiego? Natomiast mamy swoje własne, krajowe bolączki, które ideologia „proletariacka“ traktuje pogardliwie i lekceważąco, a które dotkliwie dają się nam we znaki. Łatwo jest walczyć w Wilnie z imperjalizmem kolonialnym Europy, ale o wiele produkcyjniejszą byłaby walka o emancypację kolonii litewsko-białoruskiej, jaką w gruncie rzeczy jest Wileńszczyzna.

* * *

O ile dwutygodnik „Poprostu“ istotnie przemawia prosto i wyraźnie, o tyle drugie nowopowstałe czasopismo p. t. „Front Pracy uczestników walk o niepodległość“ swoje wyznaczenie wiary formuluje mętnie i zawile. W słowie wstępnym redakcja zapowiada, że chce być „trybuną kombatanta i szarego człowieka“, przyczem wyjaśnia, że wśród kombatantów czyli mówiąc językiem bardziej zrozumiałym wśród byłych wojskowych panuje znaczne bezrobocie. Jeżeli weźmiemy nadto pod uwagę oświadczenie redakcji w tymże artykule wstępnym, że „naród, który stworzył jest głównym filarem państwa — ma prawo być gospodarzem w tym państwie“, to należy domyślać się, że zadaniem nowego pisma jest domaganie się od rządu zapewnienia dobrze płatnych posad wszystkim tym „kombatantom“, którzy jakimś trafem dotąd nie stali się ani osadnikami, ani wójtami, ani burmistrzami w naszym kraju.

Zadanie tego rodzaju jest najzupełniej zrozumiałe, ale czyż do jego urzeczywistnienia potrzebna jest akcja prasowa? Są przecież inne, bardziej niezawodne drogi... Słowo drukowane dla takich dążeń nie jest środkiem odpowiednim, z łatwością bowiem można popełnić jakąś niezręczność, narazić się komuś z czynników decydujących, nie trafić w ton należyty etc. Ryzykowny to bardzo sposób. Tem bardziej, gdy redakcję uniesie temperament izehce

ona zabierać głos w sprawach, nie mających nic wspólnego z biedą kombatantką.

A że redakcja „Frontu Pracy“ ma aspiracje rozległe, dowodem tego artykuł „Na ślepych torze“, omawiający kwestję stosunków polsko-litewskich. Autor z rzadką otwartością podkreśla w nim ujemną rolę emigracji polskiej z Litwy z jej manją „samozwańczego posłannictwa“ i utrzymuje, że „tylko i wyłącznie na drodze wolnego od poczucia krzywdy czy uprzedzeń, na drodze bezpośredniego kontaktu z młodą Litwą młodej Polski — znaleźć można wspólny język“. Śmiała teza, ale czy nie za śmiała, jak na organ bezrobotnych kombatantów?

Licz.

FELJETON.

Ryby mają głos.

Było to wielkim błędem, że panowie urzędnicy, siedząc przy swoich biurkach, wypracowali długie i, jak zwykle, niebardzo zrozumiałe ustawy o rybołówstwie i wcale się nie zainteresowali, co same ryby myślą o ich twórczości ustawodawczej, która może i była radosną, lecz nie dla ryb i nie dla zaprzyjaźnionych z nimi rybaków nadbrzeżnych. Między rybami i miejscowymi rybakami wytworzył się od wieków stosunek bliski, niepozbawiony obustronnego sentymentu, który tradycyjnie przechodził z pokolenia na pokolenie.

* * *

Jak tylko wieść o nowej ustawie rybołówczej dotarła do głębin jeziora Narocz, zapanowało tam wielkie poruszenie i zaniepokojenie. Delegaci od ryb wszystkich szczepów zbrali się na pewnej mieliźnie w pobliżu sitowia. Miejsce zebrania zostało obsadzone strażami, aby gajowi, podlegający Dyrekcji Lasów Państwowych, nie mogli podsłuchiwać obrad. Konspiracja nigdy nie zawadzi...

Na przewodniczącego zebrania został obrany przez aklamację olbrzymich rozmiarów Szczupak o potężnej paszczy i zębach. Nikt nie protestował przeciwko temu wyborowi, no bo niechby zaprotestował...

Przewodniczący podziękował grzecznie za wybór głośnym kłapinięciem kłów i zagał zebranie:

— Kochani obywatele naroczańscy!... Na naszym horyzoncie politycznym zaszły doniosłe zmiany. Stosunki nasze, ustabilizowane od setek lat z ościenymi rybakami mają wygasnąć. Zamiast nich, wejda z nami w kontakt bezpośredni władze... leśne, a więc gajowi, leśniczowie, nadleśni, inspektorzy lasów. Zostaliśmy oddani w ich sferę wpływów i oni to otrzymali mandat nad nami...

— Przecież oni o rybactwie i przemyśle rybnym nie mają zielonego pojęcia, chociaż chodzą w zielonych uniformach... — cdezwał się pewien Okoń, który dzięki swemu uskrzeleniu nie boi się szczupaków.

— To nic, u ludzi tak jest we zwyczaju. Oni mogą kapitana okrętu mianować nadleśnym, albo oficera od artylerji starostą, władza jest zawsze władzą, — rzekł Węgorz, który niejedną odbył wędrówkę i dużo widział na świecie.

— Może to prawda, — mruknął Karp — ale co

nas to obchodzi?... Nie wszystko jedno, w czym brzuchu ginać?... Ale władzę trzeba szanować.

— Trzeba być głupim jak karp, — zachnął się przew. Szczupak, — aby tak logizować. Toż nawet człowiek interesuje się, kogo ma nakarmić i gdzie spocznie po śmierci. A my, szlachetne ryby, które mają coprawda dużo ości, ale nie mają tyle podłości, co człowiek, my, uczciwe ryby, nie będziemy się interesowały, co się z nami stanie, kto nas przetransportuje na tamten świat?... Głupil Potrzykroć głupil...

— Panie przewodniczący, — wrzasnęła jedna Sielawa, — ten karp trzyma za urzędnikami leśnymi, bo on też nie tutejszy. Jego koleją przywieźli z innej dzielnicy i puścili, żeby tutaj żerował i tuczył się. On dlatego tak mówi, bo on nie kocha naszego jeziora ani naszych ludzi. Jemu wszystko jedno, aby tylko żreć, dopóki go nie złapią.

— To nie jest takie głupie, co mówisz, — rzekł poważnie naroczański Szczupak, — ale wracając do rzeczy, musimy się zastanowić, co dalej robić, jak reagować na biurokratyczno-etatystyczne zakusy administracji, jak zapobiec krzywdzie naszych nadbrzeżnych rybaków, których żywicielami byliśmy dotąd?... Otwieram nad tem dyskusję. Kto chce zabrać głos, niech podniesie do góry... cgon.

Wszystkie ogony zatrzepotały ku górze, niby las podwodny z chwiejącymi się od wiatru wierzchołkami.

— To za dużo, — mruknął Szczupak, — niech mówi starszyna. Udzielam głosu Sumowi.

Olbrzymi Sum błysnął oczyma, pokręcił wąsami i głębokim głosem przemówił:

— Jako stary i przywiązany serdecznie do naszego jeziora krajowiec, odczuwam głęboko boleść, jaka nas wszystkich, to jest prawie... wszystkich (tu spojrzął zezem na śląskiego karpia i węgorza) dotkliwie przenika. Sytuacja wydaje się bez wyjścia. Jestem zrozpaczony. Gdybym był człowiekiem, skoń czyłbym samobójstwem. Ale jak?... Zastrzelić się nie mogę, bo nie mam fuzji, otruć się — nie mam trucizny, powiesić się — nie mam na czem. Pozostaje mi tylko... utopić się w wodzie.

Wszyscy spojrzeli po sobie: — Isz go, jaki mądry!... — można było wyczytać we wszystkich oczach. Jednak myśl gromadnego utopienia się w wodzie była w dalszym ciągu dyskusji odrzucona przez zebranie, jako niedająca zebrany żadnej satysfakcji. A tymczasem wzburzenie przeciwko urzędnikom, którzy opanowali wodę Naroczy i odebrali chleb biednym wieśniakom, rosło z minuty na minutę. Karasie, Jazie, Podusty, Cierniki, Liny, Miętusy, a nawet Płotki i Kielbie — poczęły groźnie pomrukiwać. Temperatura zebrania stała się gorącą. Wszystkie ryby straciły swą zimną krew. Czulo się, że coś jednak zrobić należy, aby doprowadzić do równowagi wzburzone temperamenty rybne.

Wówczas wypląnął na czoło zebrania niemłody Leszcz i rozdzierającym głosem zajazgotał:

— Rozumiemy się wszyscy, z wyjątkiem przybłądów — głupiego karpia i śliskiego węgorza, który nie wiadomo skąd pochodzi i wszędzie się wciśnie. Mamy tylko jeden cel w życiu — musimy zemścić się na ludziach, którzy piszą ustawy, obrażające nasze tradycje i krzywdzące naszych odwiecznych przyjaciół nadbrzeżnych. Jest na to jeden sposób. Niech każdy z nas uroczyście przyrzeknie pod rybiem słowem honoru, niech przysięgnie na nienawiść do rządowych sieci, na wrodzony wstręt do patelni, —

że *stanie ością w gardle* każdemu, kto będzie gwałcił prawa Naroczy, odwieczne prawa naszej ojcowizny!... Biada im!...

— Przysięgamy! Przysięgamy! Przysięgamy!...

Na tem zebranie zostało zamknięte i ryby rozplynęły się po całym jeziorze do zamieszkałych przez się toni.

* * *

A więc baczność P. T. Dyrekcjo Lasów Państwowych! Jak taka ość stanie w gardle, to może być kaput.

Bolesław Szyszkowski.

W Synkowiczach.

W sierpniu 1935 r.

Był jeden z tych dni, w jakie obfitowało lato tegoroczne, gdy podjeżdżałem do Synkowicz. Niby deszczu nie było, lecz nie było też pogody. *Wisiało*, jak to się mówi, przez cały dzień. W powietrzu jednak było rześko. To też podróż ze Słonima wózkami gospodarskim, na świeżem sianie, odbyta o wieczornej porze, wśród rozkosznego bukietu zapachów polnych, nietylko mię nie zmęczyła, lecz dała rzadko doznawane w mieście uczucia wypoczynku, odprężenia i odświeżenia.

Nie przepadam za krajobrazem dzikim, raczej wolę harmonijny zespół natury i sztuki, dlatego Synkowicze zyskały mię wstępny bojem. Gdy się podjeżdża do tej starożytnej osady, już z oddala uderza w panoramie miejscowej dziwnie piękny a poważny masyw starodawnej cerkwi. Po raz pierwszy ujrzałem ją, gdy dopiero przed zachodem słońce, przebiwszy chmury rzuciło na Synkowicze z ich drogocennym zabytkiem kilka snopów czerwonych promieni. Zachwycony patrzyłem na tę wspaniałą bryłę zabytkowej świątyni warownej, otoczonej pierścieniem brzoź, tu gęstszych i kryjących dwie trzecie jej murów, ówdzie rzadszych i odsłaniających zasadnicze jej linje gotyckie. Nawet ci historycy, którzy niechętnie stwierdzają, że coś mogło powstać na Litwie przed Unją Lubelską, określają powstanie tej murowanej cerkwi na wiek XV, acz przytem stale dodają: *fundacji niepewnej*. Być może historia nie umiała lub nie chciała (bywa i to) przechować dla potomności nazwisk fundatorów cerkwi Synkowickiej, atoli same mury rozgłośnie a niezbitnie mówią, że fundował ją zamożny, ambitny i kochający sztukę wielmoża ruskiej wiary i mowy, co mu wcale nie przeszkadzało gustować, jak ongi mówiono, w *porządku* gotyckim.

Żresztą cały szereg starożytnych cerkwi u nas zdradza jeszcze dziś, mniej lub więcej, gotyctw. Jeśli chodzi o cerkwie w Wilnie, to do nich należą: Józefatowska św. Trójcy, Preczysta na Zarzeczcu, Przeniesienia relikwii św. Mikołaja przy ul. Wielkiej, jeśli zaś o prowincję, to — nader starożytne: w Małym Możejkwie pod Lidą, w Supraślu pod Białymstokiem... Wszystkie one, zwłaszcza Synkowicka, Mała Możejkwowska, Supraślska..., powstały pod wybitnym wpływem gotyku i noszą jego piętno do dziś dnia. Badacz białoruskiej architektury. Szczekacichin roztrząsa szczegółowo uwydatnioną w szeregu tych warownych gotyckich cerkwi odmianę krajową stylu gotyckiego. Świadczy to, że obok wi-

leńskiego gotycyzmu kościelnego (św. Mikołaj, św. Anna, Bernardyny), rozwinął się też i istniał *gotycyzm cerkiewny*, który reprezentowały dawne, dziś straszliwie zniekształcone, świątynie dyzunickie w Wilnie, a dziś jeszcze chlubnie reprezentują na prowincji przedewszystkiem w Synkowiczach i Małym Możejkwie.

Wieczór sierpniowy znacznie już jest krótszy, więc zdążyłem tylko obejrzeć cerkiew Synkowicką nazewną. Ma typową gotycką fasadę, pełno w niej wnęk, a strzelnice u poddasza biegną niemal dookoła cerkwi. Dach wysoko wyniesiony, tak niepodobny do płaskich zwykle dachów świątyń prawosławnych, budowanych u nas przez przybyszów z Carewokszajska. Po czterech rogach świątyni wznoszą się cztery ośmioboczne baszty obronne. Jedynie ostrołukowe okna drzwi ujęte są w otynkowane i pomalowane na biało framugi, całość murów i dachu świeci wszędzie starą cegłą i zczerniałą dachówką, a wszystko wraz z otaczającym cerkiew laskiem cmentarnym, tworzy nader malowniczą plamę.

Trzeba było teraz pomyśleć i o noclegu. W tym celu za radą wieśniaka, który mię tu przywiózł, udałem się do wskazanej mi nieopodal chaty. Mimo, że pracowity dzień gospodarzy chylił się ku końcowi i należał się im wcześniejszy wypoczynek, przyjęło mię dość chętnie. Nie znoszę „grzeczności” hotelowej, więc początkowa rezerwa i pewne szczere zakłopotanie obustronne ustąpiły rychło i, przy zsiadłem mleku z kartoflami, łatwo zawiązała się pogawędka. Zwłaszcza, gdy wspomniałem nazwisko byłego tu duszpasterza o. Marcelego Wysokińskiego, zaświeciły wnet oczy moim rozmówcom. Mężczyźni wspominali go z głębokim szacunkiem, twierdząc, że pewno drugiego takiego już mieć nie będą, a obecne w izbie kobiety ukradkiem strząsały łzę z powiek.

— *A czy baczyli, panok, nasz zwanicu, hździe jon żyu?*

— Nie, — odpowiedziałem.

Przyrzekli mi nazajutrz ją pokazać.

— *Ależ ładną macie tu cerkiew!* — zacząłem.

— *Cztoż nam z jajoj ładności, kali użo rupiacca adabrać?! Mo kalib nia była tak staraja i ładnaja, nia kryudzili nas. Nima praudy na świecie* — skończył z westchnieniem.

— *Czy nie była wasza cerkiew niegdyś kościołem łacińskim?* — zapytałem.

— *Nikoli, panoczku! Jak Boh na niebie! Nam czużo nia treba! Tutaka chreścili ich, žanilisia, malilisia nasz pradziedy, tut jany, na bliskom mahilniku i leżać.*

— *Któż wam chce odebrać starą cerkiew?* — zerwało mi się z ust.

— *A chtoż druhi, kali nia nasz nowy dziekan Świrkowski?!... jon tut kamandzir i usie za nim: pany, jak Jeśman, Czapski..., czynouniki, wuczycieli, osadniki... Usich nia piereliczysz... Dtienna.*

— *Jeśli ks. dziekan Świrkowski taki dla was niechętny, to poco go przysłano tu pod Albertyn, gdzie przecież idzie jakaś tam akcja unijna? Czy zabrakło już dlań parafji na całej archidiecezji?* — pytałem ze zdumieniem.

— *Czuli my, szto nasz dziekan Świrkowski, ks Słemp i dr. nadta rupliwa pracowali dohētul kala Dru!*...

Tu zatrzymał się i zamyślił się mój rozmówca. Wobec późnej już pory, nie chciałem przedłużać rozmowy.

Nazajutrz rano obejrzałem cerkiew wewnątrz. Niema w niej dawnego ikonostasu. Jakaż szkoda! Co się z nim stało? Gdzie on? Sąsiednie Synkowiczom dwory zapewne mogłyby mię poinformować. Zaniechałem odwiedzenia ich. Lubię kontakty z rodakami, z przyjaciółmi, — nie z wrogami. Dowiedziałem się przytem, że następca o. Wysokińskiego, wspomniany w Synkowiczach z wielkim uznaniem, o. Antoni Niemancewicz, dochodząc należnych praw, bywał u najbardziej wrogich akcji unijnej ziemian. Dziś siedzi tu, jako drugi administrator cerkwi (pierwszym jest dziekan Świrkowski), młody o. Szarejko. Zmuszony jest sytuacją wyjątkową oglądać się tu na wszystkie strony i przez to znacznie sparaliżowany w pracy. Zobaczymy jak długo tu jeszcze pozostanie. Może odbywana teraz w Słonimskim wizytacja arcybiskupia przyniesie jakieś zmiany w nastawieniu ideowym i składzie personalnym. Oby tylko pomyślne.

Dzień wypełniły mi krótsze wycieczki i zwiedzanie, raczej poszukiwanie miłych zakątków w pobliżu. Wieczorem odjeżdżałem. Tym razem ziemia Słonimska, ta *Russia Nigra*, żegnała mię śliczną a ciepłą pogodą. Wyplynał pełny księżyc. W zarosłach rozpoczął się koncert koników polnych, przypominający jednak słuchaczowi niechybny już a rychły koniec lata.

Przejezdny.

„Pestis perniciosissima”.

(Przed V konferencją unijną w Pińsku.)

Terminem powyższym napiętnował Pius X modernizm, wydając swego czasu słynną encyklikę *Pascendi Dominici gregis*. Tak również nazwał swą zajmującą, a poświęconą nowym kierunkom myśli katolickiej przed wojną, broszurę prof. M. Zdziechowski. I my nie widzimy lepszego określenia dla tego, czem jest unjonizm dla *polskiego* katolicyzmu. Dla każdego prawie katolika polskiego bez różnicy, świeckiego czy duchownego, jest on tylko *pestis perniciosissima* — zarazą najzłobniejszą. Oczywiście, śladu tego nie znajdziesz w ununcjach urzędowych (dla Rzymu, zagranicą, innych narodów sławiańskich), atoli nam tu chodzi o stan rzeczy *faktyczny*, o sytuację *realną*... Najsprytniejsza dialektyka endecka nic tu nie zmieni i nie ukryje. Zresztą nic w tem dziwnego: inaczej nawet być nie może.

Rozważmy tylko.

Katolicyzm polski może jeszcze w wiekach średnich conieco pamiętać, że kolebka Chrystusowa stała w Ziemi Żydowskiej, że *lux ex Oriente*, a świat chrześcijański stanowić musi jedność wyższego rzędu. Rychło jednak o tem zapomniał, zachowując tylko emocjonujące go zawsze wspomnienie Żyda Judasza i mile tełchące mniemanie o wyższości nad litewskim i ruskiem chłopstwem. Chrystus polski — wdzięczne pachole, znany stachiewiczowski Jezusik, urodził się gdzieś na Mazowszu, pod strzechą piastową, a za matkę miał słodką polską Madonnę, przybraną w pasiaki łowickie lub barwne wieńce wesela krakowskiego. Takie właśnie tło etnograficzne i takie prąródło ma katolicyzm polski.

Nigdy jeszcze nie skryształizowały się tak wyraźnie składniki jego zasadnicze, jak dziś, gdy do-

strzegamy już zbyt wyraźnie trzy w nim pierwiastki: bezwzględny nacjonalizm, rwący się do czynu antysemityzm i tępy wszechlaticyzm.

Przejdźmy je po kolei.

1) Nie katolicyzm u nas ma wywierać wpływ kształtujący na polskość i miłość ojczyzny, lecz wręcz odwrotnie! Nacjonalizm polski dyktuje dziś właśnie a bezapelacyjnie, jaką ma być treść katolicyzmu polskiego, jakie jego zadania, bliższe i dalsze, i że wszystko mu wolno. I katolicyzm polski do tej roli *służebnej* przystosował się całkowicie. Nie czuje już on zgoła jakiegokolwiek, bodaj najmniejszej, tęsknoty do utraconego *złotego rogu* wolności, jakby się urodził i wyrósł w niewoli. Wobec powyższego zbyt jest mówić o zachłanności katolicyzmu polskiego względem inoplemiennych katolików, jak Litwini, Ukraińcy, Białorusini...

2) Powtóre na treść katolicyzmu polskiego składa się antysemityzm. Zaiste podziwiać trzeba jeszcze uczciwość i cierpliwość kmiecia i łyka polskiego, karmionych stale i umyślnie przez kler polski, — na ambonie, w prasie, na zebraniach organizacji — strawą antysemitką, żydowską. Żyd, to *niewyczerpane* źródło natchnienia dla kaznodziejów wiejskich i małomiasteczkowych, to wieczny aktualny temat do wszelkich pogadanek i artykułów na wszystkie niedziele i święta roku Pańskiego. Pewną nowością w tej akcji jest — wprost nie do uwierzenia! — odgrzewanie dziś czarnej legendy o mordzie rytualnym. Siostrzany organ naszej endecji, „Słowo Pomorskie” stawia dziś kropkę nad i i twierdzi, że mord rytualny u żydów jest faktem historycznym. Jest częścią ich kultu. Ale poco sięgać nam daleko, krzewi się znowu wśród drobnych warstw ludu wileńskiego *wieść o niedawno popełnionym przez Żydów mordzie rytualnym nad kilkuletnim chłopczykiem, dzieckiem pewnej rodziny katolickiej w Kobylniku*. Szybko wzrasta u nas antysemityzm i niejednego jeszcze nabawi kłopotu tych z kapłanów, nauczycielstwa i działaczy społecznych, którzy zawsze się brzydzyli szczuciem jednych odłamów wyznaniowych lub narodowościowych na drugie.

3) Katolicy polscy bez *porównania* więcej są łacińscy niż Rzym, niż Włosi, Francuzi, Hiszpanie, ci urodzeni przedstawiciele ducha łacińskiego na świecie. Dlatego panlaticyzm polski słusznie zasługuje na miano *tępego*. Jest on irracjonalny, uczuciowy, prostacki a dziki. Przed kilkudziesięciu laty napisał pewien polski historyk Kościoła studium o obrządku słowiańskim w Polsce pierwotnej. Czytając je, narzuca się z całą siłą wrażenie, że wszelkie poszlaki, mówiące o przyjęciu przez Polskę chrześcijaństwa w obrządku wschodnim (acz tylko z Zachodu, *via* Czechy—Morawy), autor uważa, nawet hipotetycznie, za dziejowy dia Polski mezaljans i przeto usiłuje obronić jej opinię przed samą możliwością posądzenia o popełnienie czegoś podobnego! Katolicyzm polski nie tylko nie zadał kłamu oskarżającej go o wrogą dla unji tendencję historjografji rosyjskiej, lecz przeciwnie przyczynił się walenie do zrehabilitowania niejednego wniosku historyków rosyjskich, co wobec oczywistości musi dziś przyznać każdy bezstronny Polak. Dlatego też nigdy jeszcze nie miała tak mocnych dla siebie przesłanek i podstaw znana teza przedwojenna o Palmieriego, że *polski katolicyzm jest przeszkodą w zbliżeniu Rosji do katoli-*

cyzmu i niezdatny do wykonania tego szczytnego zadania.

Dotyczy to oczywiście chwili obecnej, bo przyszłość jest zawsze niewiadoma. Żadnej przyjemności nie sprawia nam stwierdzenie tego faktu, owszem napelnia ostrym bólem.

A skoro już akcja unijna dla polskiego katolicyzmu jest faktycznie *pestis perniciosissima*, i jako taka obca, niebezpieczna, szkodliwa, bo powstrzymująca z jednej strony przechodzenie na obrządek łaciński prawosławnych, z drugiej zaś utrudniająca polszczenie Białorusinów i Ukraińców, to nadchodząca V konferencja unijna w Pińsku musi budzić w każdym szereg refleksyj najsmutniejszych.

Komu ona dziś potrzebna?!

Wszystko można przebaczyć i zrozumieć, oprócz zakłamania. *Cui bono?*

Grek.

Bibliografja.

Vilniaus kraštas. Albumas. Kaunas 1934.

W r. 1923 wydano w Kownie duże album *Vilnius*. Redakcja „Musų Vilnius”, chcąc spopularyzować wśród społeczeństwa litewskiego znajomość już nietylko Wilna, lecz całej Wileńszczyzny, wydała niedawno dla swoich prenumeratorów tańsze album p. t. *Kraj Wileński*, gdzie na 56 stronach mieści się 269 ilustracyj. Wzięte są one z dzieł specjalistów geografów, jak prof. prof. Kołupajto i Paksztas.

Rzecz zrozumiała, serja widoków rozpoczyna się podobizną palladium Wilna, cudownego obrazu M. B. Ostrobramskiej i zdobiących go nowych koron, brak jednak fotografii obecnego wyglądu kapticy, mimo że już parę dobrych lat upłynęło od zakończenia jej restauracji. Istnym dziwołagiem jest *Sostine Bokštuose. Prieky—Vilniaus kalvinų bažnyčia*, gdzie ponad dachem zboru kalwińskiego przy ul. Zawalnej, piętrzą się prawie bezpośrednio, więc wbrew prawdzie sytuacyjnej, kościoły Misjonarzy, Wizytek i św. Kazimierza. Wygląda to wprost na sztukę fotograficzną, lub celowy fotomontaż. Jako rarytas w tym albumie jest dowojenna raczej przedokupacyjna „konka” wileńska, budząca dziś jakąś rzewność w pamięci i sercu. To, co ma przedstawiać św. *Rapolo bažnyčios viduje*, jest podobizną jakiegoś nieznanego kościoła... poza Wilnem!—Dorćwnywuja temu, jeśli nieprzewyższają inne nieścistości. Oto dzisiejszy plac Batorego w Grodnie, z widokiem na ratusz i Batorówkę, nosi dufny podpis: *Diadžiojoj gatvė, ties rotušė, Vilniuje!* Zgoła też inny ma wygląd teatr letni w naszej Bernardynce, niż podany w albumie *Vasaros teatras Vilniuje*.

Wśród widoków poza wileńskich nie spotyka się najbardziej ciekawych w Grodnie dla Litwina podobizn, jak np. dawnej fary Witoldowej, ruin zamczyska litewskiego (pilkalni) nad Niemnem i in. Oprócz fotografii Grodna, są tu pamiątki litewskie Trok, Lidy, Krewa, Sejn Nowogródka i w in.

Zredagował tekst i sporządził układ klisz Vincas Uždavinys, okładkę zaś wykonał art. V. Kosciuska. Niestety strona graficzna albumu — niechlujna. Przez szacunek dla Wilna i swego przedsięwzięcia, wydawcy kowieńscy winni byli postarać się o lepszy wygląd swego wydawnictwa propagandowego.

Rimtas.

